



JEDEN

WYBÓR

NIEZGODNA

VERONICA ROTH

MOŻE CIĘ

ZMIENIĆ

moondrive



*Matce, bo dała mi chwilę,
w której Beatrice zdaje sobie sprawę,
jak silna jest jej matka, i dziwi się,
że tak długo tego nie zauważała*



ROZDZIAŁ 1

W moim domu jest jedno lustro. Za przesuwany panelem, w korytarzu na piętrze. Nasza frakcja pozwala mi stawać przed nim drugiego dnia każdego trzeciego miesiąca, tego dnia, kiedy matka obcina mi włosy.

Siedzę na stołku, a ona stoi za mną z nożyczkami i strzyże. Kosmyki spadają na podłogę martwym, jasnym kręgiem.

Kiedy kończy, odgarnia mi włosy z twarzy i skręca w węzeł. Widzę jej spokój i skupienie. Ma dużą wprawę w sztuce wyrzekania się siebie. O sobie nie mogę tego powiedzieć.

Ukradkiem zerkam na swoje odbicie, kiedy matka nie patrzy. Nie z próżności, tylko z ciekawości. Wygląd człowieka może się bardzo zmienić przez trzy miesiące.

Odbicie pokazuje wąską twarz, duże okrągłe oczy i długi cienki nos – wciąż wyglądam jak mała dziewczynka, chociaż niedawno, w ciągu ostatnich kilku miesięcy, stałam się szesnastolatką. Inne frakcje obchodzą urodziny, ale my nie. To byłoby pobażanie sobie.

– Gotowe – oznajmia matka i upina kok. Łapie moje spojrzenie w lustrze. Już za późno, żeby odwrócić wzrok, ale zamiast mnie skarcić, uśmiecha się do naszego odbicia. Lekko marszczę

brwi. Dlaczego nie daje mi reprimendy za to, że się sobie przyglądam? – A więc dziś jest ten dzień – mówi.

– Tak – odpowiadam.

– Denerwujesz się?

Przez chwilę wpatruję się sobie w oczy. Dziś jest dzień testu przynależności, który pokaże mi, do której z pięciu frakcji pasuję. A jutro, na Ceremonii Wyboru, zdecyduję, do której wstąpię. Zdecyduję o moim dalszym życiu. Zdecyduję, czy zostanę z rodziną, czy ją opuszczę.

– Nie. Testy wcale nie muszą zmieniać naszych wyborów.

– Racja. – Uśmiecha się. – Chodźmy na śniadanie.

– Dziękuję. Za obcięcie włosów.

Całuje mnie w policzek i zasuwają panel na lustro. Myślę, że w innym świecie moja matka byłaby piękna. Jej ciało pod szarą szatą jest smukłe. Ma wysokie kości policzkowe i długie rzęsy, a kiedy na noc rozpuszcza włosy, spływają falami na ramiona. Jednak w Altruizmie musi ukrywać urodę.

Idziemy razem do kuchni. W takie poranki, kiedy mój brat robi śniadanie, ojciec czyta gazetę i głaszcze mnie po włosach, a matka, nucąc pod nosem, sprząta ze stołu – właśnie w takie poranki czuję największe wyrzuty sumienia, że chcę ich opuścić.

★

Autobus śmierdzi spalinami. Za każdym razem, kiedy podskakuje na wybojach, rzuca mną na boki, chociaż trzymam się siedzenia.

Caleb, mój starszy brat, stoi w przejściu i trzyma się poręczy nad głową. Nie jesteśmy podobni. Ma ciemne włosy i orli nos ojca, zielone oczy i dołki w policzkach matki. Kiedy był młodszy, takie połączenie wyglądało dziwnie, ale teraz do niego pasuje. Jestem pewna, że gdyby nie należał do Altruizmu, dziewczyny w szkole by się za nim oglądały.

Odziedziczył też talent matki do wyrzekania się siebie. Bez namysłu ustąpił miejsca jakiemuś nadętemu Prawemu.

Prawy nosi czarny garnitur i biały krawat – typowy strój Prawości. Ich frakcja ceni uczciwość, a prawdę widzą czarno-białą, dlatego tak się ubierają.

Im bliżej centrum miasta, tym domy stoją bliżej siebie, a ulice są równiejsze. Budynek, który kiedyś nazywał się Sears Tower – my mówimy o nim Baza – wyrasta z mgły; czarna kolumna na tle horyzontu. Autobus przejeżdża pod wiaduktem kolejowym. Nigdy nie byłem w pociągu, chociaż jeżdżą bez przerwy, a tory są wszędzie. Tylko Nieustraszeni nimi podróżują.

Pięć lat temu budowlańcy z Altruizmu na ochotnika wymienili nawierzchnię niektórych dróg. Zaczęli od centrum i posuwali się ku przedmieściom, aż zabrakło im materiałów. Tam, gdzie mieszkam, ulice wciąż są popękane i dziurawe i niebezpiecznie po nich jeździć. Ale i tak nie mamy samochodu.

Caleb ma łagodny wyraz twarzy, kiedy autobus trzęsie się i podskakuje. Gdy ściska poręcz, żeby utrzymać równowagę, szara szata zsuwa mu się z ramienia. Ciągłe rusza oczami – stąd wiem, że przygląda się ludziom dookoła. Stara się widzieć tylko ich i zapomnieć o sobie. Prawi cenią uczciwość, a my – pełne oddanie.

Autobus zatrzymuje się przed szkołą. Wstaję i szybko mijam Prawego. Łapię Caleba za ramię, kiedy potykam się o buty tamtego. Mam za długie nogawki, a nigdy nie poruszałam się z wdziękiem.

Są trzy szkoły w mieście: Niższe Poziomy, Średnie Poziomy i Wyższe Poziomy. Wyższe Poziomy jest najstarsza. Jak wszystkie inne budynki wokół jest ze szkła i stali. Przed nią stoi duża metalowa rzeźba, na którą Nieustraszeni wspinają się po lekcjach i podpuszczają się, kto wejdzie wyżej. W zeszłym roku widziałam, jak jeden spadł i złamał nogę. To ja pobiegłam wtedy po pielęgniarkę.

– Dzisiaj test przynależności – mówię. Caleb jest starszy o niecały rok, więc jesteśmy w tej samej klasie.

Kiwa głową, wchodzimy głównym wejściem. I nagle spinają mi się mięśnie. Wyczuwam atmosferę zachłanności, jakby każdy szesnastolatek chciał z ostatniego dnia tutaj wchłonąć, ile się da. Możliwe, że po Ceremonii Wyboru już nigdy nie będziemy chodzić po tych korytarzach – bo kiedy wybierzemy, naszą dalszą nauką zajmą się nowe frakcje.

Dzisiaj lekcje mamy o połowę krótsze, więc zaliczymy wszystkie do lunchu. Po nim zaczną się testy. Już teraz serce bije mi szybciej.

– Czy ty w ogóle się nie przejmujesz, co ci powiedzą? – pytam Caleba.

Zatrzymujemy się na rozgałęzieniu korytarza. Brat zaraz pójdzie w jedną stronę, na wyższą matematykę, a ja w drugą, na historię frakcji.

Unosi brwi.

– A ty?

Mogłabym mu odpowiedzieć, że już od tygodni martwię się, co pokaże mi test – Altruizm, Prawość, Erudycję, Serdeczność czy Nieustraszonność.

Ale tylko uśmiecham się i mówię:

– Nie za bardzo.

On też się uśmiecha.

– No to... miłego dnia.

Przygryzam dolną wargę i idę na historię frakcji. Caleb nigdy nie odpowiada na moje pytania.

Korytarze są ciasne, choć dzięki światłu, które wpada przez okna, wydają się większe; w naszym wieku to jedyne miejsce, gdzie spotykają się różne frakcje. Dzisiaj w tłumie uczniów króluje nowy rodzaj energii: szaleństwo ostatniego dnia.

Dziewczyna z długimi kręconymi włosami krzyczy mi prosto w ucho „Cześć!” i macha do stojącej daleko koleżanki. Rękawem kurtki dostaję w policzek. Potem popycha mnie jakiś Erudyta

w niebieskim swetrze. Tracę równowagę, twardo upadam na podłogę.

– Z drogi, Sztywniaczko – rzuca i idzie dalej.

Czuję, jak pieką mnie policzki. Wstaję, otrzepuję się. Kiedy upadłam, kilka osób się zatrzymało, ale nikt mi nie pomógł. Odprowadzają mnie spojrzeniami do końca korytarza.

Takie rzeczy zdarzają się członkom mojej frakcji już od miesięcy. Erudycja puszcza artykuły źle mówiące o Altruizmie, co zaczęło wpływać na to, jak traktuje się nas w szkole. Szare ubranie, prosta fryzura i skromne zachowanie mają sprawić, że łatwiej zapomnę o sobie samej, a wszyscy inni zapomną o mnie. Ale teraz robią ze mnie cel.

Zatrzymuję się przy oknie w skrzydle E i czekam na Nieustraszonych. Robię tak co rano. Dokładnie o siódmej dwadzieścia pięć Nieustraszeni udowadniają, że są odważni, wyskakując z jadącego pociągu.

Ojciec mówi o Nieustraszonych „łobuzy”. Noszą kolczyki, tatuaże, ubierają się na czarno. Ich główne zadanie to pilnować ogrodzenia wokół naszego miasta. Przed czym – nie wiem.

Powinni wprawiać mnie w zakłopotanie. Powinna się dziwić, że odwaga, cecha ceniona przez nich najwyżej, ma coś wspólnego z kolczykiem w nosie. A jednak nie mogę oderwać od nich wzroku.

Słychać gwizd pociągu, dźwięk odbija się echem w mojej piersi. Reflektor z przodu miga, kiedy pociąg pędem mija szkołę i zgrzyta na żelaznych szynach. Z kilku ostatnich wagonów wyskakuje chmara chłopców i dziewczyn w ciemnych ubraniach. Jedni upadają, turlają się, inni się zataczają, przechodzą kilka kroków i odzyskują równowagę. Jakiś chłopak ze śmiechem obejmuje dziewczynę.

Oglądanie ich to taki mój głupi zwyczaj. Odwracam się od okna i przeciskam przez tłum do sali, w której mam lekcję historii frakcji.



ROZDZIAŁ 2

Testy zaczynają się po lunchu. Siedzimy przy długich stołach w stołówce, a administratorzy wywołują po dziesięć nazwisk, po jednej osobie na każdą salę egzaminacyjną. Siedzę obok Caleba, po drugiej stronie zajęła miejsce nasza sąsiadka Susan.

Ojciec Susan w pracy jeździ po mieście, dlatego ma samochód i codziennie podwozi ją do szkoły i odbiera po lekcjach. Nam też to proponował, ale jak mówi Caleb, wolimy wyjść później i nie chcemy robić mu kłopotu.

Jasne.

Administratorzy są w większości ochotnikami z Altruizmu, jednak w jednej z sal egzaminacyjnych siedzi Erudyta, a w innej Nieustraszony. Testują Altruistów – regulamin zabrania, żeby robił to ktoś z naszej frakcji. Nie wolno nam też w jakikolwiek sposób przygotowywać się do testów, dlatego nie wiem, czego się spodziewać.

Spojrzeniem wędruję od Susan do stołu Nieustraszonych po drugiej stronie sali. Śmieją się, przekrzykują, grają w karty. Przy innych stołach Erudyci rozmawiają nad książkami i gazetami, ciągle gonią za wiedzą.

Dziewczyny z Serdeczności ubrane na żółto i czerwono siedzą w kółku na podłodze stołówki i w coś się bawią – klaszczą i śpiewają jakąś rymowanąkę. Co kilka minut słyszę ich chóralny śmiech, kiedy któraś odpada i musi usiąść pośrodku kręgu. Przy stole obok chłopcy z Prawości wymachują rękami. Chyba o coś się spierają, ale na pewno o nic ważnego, bo niektórzy cały czas się uśmiechają.

Przy stole Altruizmu siedzimy spokojnie i czekamy. Zwyczaje frakcji regulują nawet zachowanie w zwykłych sytuacjach i są ważniejsze od własnych chęci. Wątpię, żeby wszyscy Erudyci chcieli się ciągle uczyć albo żeby każdy Prawy lubił gorące dyskusje – ale oni wszyscy, tak samo jak ja, muszą przestrzegać norm swoich frakcji.

Caleb zostaje wywołany w następnej dziesiątce. Pewnym krokiem idzie do wyjścia. Nie muszę życzyć mu powodzenia ani zapewniać, że nie ma się czym przejmować. Zna swoje miejsce i o ile pamiętam, znał je zawsze. Moje pierwsze wspomnienie o nim jest z czasów, kiedy mieliśmy po cztery lata. Skarcił mnie wtedy, bo na placu zabaw nie oddałam swojej skakanki jakiejś małej dziewczynce, która nie miała się czym bawić. Caleb rzadko mnie poucza, ale zapamiętałam jego karcące spojrzenie.

Próbowałam mu kiedyś wytłumaczyć, że mam inne odruchy – w autobusie nawet nie przyszło mi do głowy, żeby ustąpić miejsca Prawemu – ale on tego nie rozumie. Zawsze mówi: „Po prostu rób, co do ciebie należy”. To dla niego łatwe, więc dla mnie też powinno być.

Czuję, jak zaciska mi się żołądek. Zamykam oczy, otwieram je dopiero po dziesięciu minutach, kiedy Caleb znowu siada.

Jest błady jak ściana. Przesuwa dłońmi po nogach tak jak ja, kiedy chcę je wytrzeć z potu. Kiedy podnosi ręce, drżą mu palce. Otwieram usta, żeby go o coś zapytać, ale słowa więzną mi w gardle. Nie wolno mi pytać o wynik testu, a jemu nie wolno odpowiadać.

Ochotnik z Altruizmu wyczytuje kolejnych dziesięć nazwisk. Dwie osoby z Nieustraszości, dwie z Erudycji, dwie z Serdeczności, dwie z Prawości, a potem „z Altruizmu: Susan Black i Beatrice Prior”.

Wstaję, bo powinnam, ale gdyby to ode mnie zależało, siedziałabym dalej. Czuję się, jakbym miała w piersiach balon, który rośnie z każdą sekundą i zaraz mnie rozerwie od środka. Idę za Susan do wyjścia. Ci, których mijamy, pewnie nas nie rozróżniają. Mamy takie same ubrania i tak samo uczesane jasne włosy. Jedyna różnica polega na tym, że może Susan nie czuje się teraz tak, jakby za chwilę miała zwymiotować, a z tego, co widzę, dłonie nie drżą jej aż tak mocno i nie musi ścisnąć brzegu koszuli, żeby je uspokoić.

Czeka na nas dziesięć sal obok stołówki. Używa się ich tylko do testów przynależności, więc jeszcze nigdy w żadnej nie byłam. W przeciwieństwie do innych pomieszczeń szkoły nie są oddzielone szybą, ale lustrami. Kiedy idę do drzwi, widzę siebie, bladą i wystraszoną. Susan uśmiecha się do mnie nerwowo i wchodzi do sali numer 5, a ja do sali numer 6, gdzie czeka jakaś kobieta z Nieustraszości.

Nie wygląda tak surowo jak ci młodzi Nieustraszeni, których widziałam. Ma małe ciemne i skośne oczy, nosi dżinsy i czarną marynarkę jak od męskiego garnituru. Dopiero kiedy się odwraca, żeby zamknąć drzwi, widzę tatuaż na jej karku, czarno-białego jastrzębia z czerwonym okiem. Gdyby serce właśnie nie podchodziło mi do gardła, zapytałabym, co on oznacza. Musi coś oznaczać.

Lustra pokrywają wewnętrzne ściany sali. Mogę obejrzeć swoje odbicie pod każdym kątem: szary materiał ukrywający kształt pleców, moją długą szyję, moje zaczerwienione dłonie z wystającymi kostkami. Sufit błyszczy białym światłem. Na środku sali stoi rozkładany fotel, taki jak u dentysty, a obok jakaś maszyna. To miejsce wygląda, jakby działały się tu straszne rzeczy.

– Nie bój się – odzywa się kobieta. – To nie boli.

Włosy ma czarne i proste, ale w świetle widzę, że poprządkowane siwizną.

– Usiądź wygodnie. Mam na imię Tori.

Niezdarnie siadam na fotelu, odchylam się i opieram głowę na zagłówku. Światło razi mnie w oczy. Tori robi coś przy urządzeniu po mojej prawej stronie. Próbuję się skupić na niej, a nie na kablach w jej dłoniach.

– Dlaczego jastrząb? – wypalam, kiedy przyczepia mi elektrody do czoła.

– Jeszcze nigdy nie spotkałam ciekawskiej Altruistki – odpowiada, unosząc brwi.

Przechodzi mnie dreszcz, na ramionach pojawia się gęsia skórka. Moja ciekawość to błąd, zdrada zasad Altruizmu.

Nucąc pod nosem, przyciska mi następną elektrodę do czoła.

– W niektórych częściach starożytnego świata jastrząb symbolizował słońce – wyjaśnia. – Kiedy kazałam go sobie wytatuować, myślałam, że jeśli zawsze będę miała słońce na sobie, to już nie będę się bała ciemności.

Staram się powstrzymać od kolejnego pytania, ale nie mogę.

– Boisz się ciemności?

– Bałam się ciemności – poprawia. Następną elektrodę przyciska do własnego czoła i podłącza do niej kabel. Wzrusza ramionami. – Teraz przypomina mi o strachu, który przezwyciężyłam.

Staje za mną. Ściskam poręcz tak mocno, że aż bieleją mi kostki. Kobieta przeciąga kable do siebie, przyczepia je do mnie, do siebie, do maszyny za sobą. Potem podaje mi fiolkę przezroczystego płynu.

– Wypij.

– Co to jest? – Gardło mam spuchnięte, z trudem przełykam ślinę. – Co się teraz stanie?

– Nie mogę ci powiedzieć. Po prostu mi zaufaj.

Wypuszczam powietrze z płuc i wlewam do ust zawartość fiołki. Oczy mi się zamykają.

✱

Otwieram je po chwili, ale jestem już gdzie indziej. Znowu stoję w szkolnej stołówce, jednak wszystkie długie stoły są puste, a przez szklane ściany widzę, że pada śnieg. Na blacie przede mną są dwa koszyki. W jednym leży kawałek sera, w drugim nóż długi jak moje przedramię.

– Wybieraj – rozkazuje kobiecie głos za mną.

– Jak to?

– Wybieraj – powtarza.

Oglądam się przez ramię, ale nikogo nie ma. Odwracam się z powrotem do koszyków.

– Co mam z tym zrobić?

– Wybieraj! – wrzeszczy głos.

Kiedy na mnie krzyczy, strach znika, zastępuje go upór. Marszczę brwi i krzyżuję ramiona.

– Jak sobie chcesz – mówi głos.

Koszyki znikają. Słyszę skrzypienie drzwi i odwracam się, żeby zobaczyć, kto wchodzi. Widzę, że nie „kto”, tylko „co”. Kilka metrów przede mną stoi jakiś pies o szpiczastym pysku. Czai się, skradą, szczyrzy białe kły. Z głębi jego gardła dobiega warczenie i teraz wiem, do czego przydałby mi się ser. Albo nóż. Ale już za późno.

Myślę o ucieczce, jednak pies będzie ode mnie szybszy. Nie dam rady go przygnieść do podłogi. Serce mi wali. Muszę podjąć decyzję. Gdybym tylko mogła przeskoczyć blat i użyć go jako tarczy – nie, przecież jestem za niska, żeby dać takiego susa, i za słaba, żeby przewrócić stół.

Pies warczy, ten dźwięk niemal wibruje mi w czaszce.

Według książki do biologii psy wyczuwają strach dzięki substancjom chemicznym wydzielanym pod wpływem stresu przez ludzkie gruczoły – takie same substancje wydziela szczuta przez psy zwierzyna. Zapach strachu skłania je do ataku. Pies zbliża się powoli, pazurami drapie o podłogę.

Nie mogę uciec. Nie mogę walczyć. Wdycham więc śmierdzący oddech psa i próbuję nie myśleć, co właśnie jadł. W jego oczach nie ma białek, tylko lśniąca czern.

Co jeszcze wiem o psach? Nie powinnam mu patrzeć w oczy. To oznaka agresji. Pamiętam, że kiedy byłam małą, prosiłam ojca o pieska, ale teraz, gdy wpatruję się w podłogę pod psimi łapami, nie mogę sobie przypomnieć dlaczego. Zwierzę się zbliża, wciąż warczy. Jeżeli patrzenie mu w oczy to oznaka agresji, co jest oznaką uległości?

Oddycham głośno, ale spokojnie. Klękam. Wcale nie mam ochoty kłaść się przed psem na podłodze, bo wtedy kły znajdują się na wysokości mojej twarzy. To jednak najlepsze wyjście, jakie mam. Wyciągam do tyłu nogi i opieram się na łokciach. Pies podkrada się bliżej, coraz bliżej, aż w końcu czuję jego ciepły oddech. Drżą mi ramiona.

Szczeka mi do ucha. Zaciskam zęby, żeby nie krzyczeć.

Coś szorstkiego i wilgotnego dotyka mojego policzka. Pies przestaje warczeć. Dyszy, kiedy unoszę głowę, żeby znowu na niego popatrzeć. Liże mnie po twarzy. Marszczę czoło i siadam w kucki. Zwierzę opiera się łapami o moje kolana, liże mi podbródek. Wzdrygam się, wycieram ślinę i się śmieję.

– Wcale nie jesteś taką straszną bestią, co?

Wstaję powoli, żeby go nie wystraszyć, ale teraz wydaje się całkiem innym zwierzęciem niż jeszcze kilka sekund temu. Ostrożnie wyciągam rękę, tak żebym mogła ją w razie czego cofnąć. Zwierzę trąca ją łbem. Nagle zaczynam się cieszyć, że nie wzięłam noża.

Mrugam, a gdy znów otwieram oczy, po drugiej stronie pokoju stoi jakieś dziecko w białym ubranku. Wyciąga ręce i piszczy:

– Piesek!

Mała dziewczynka biegnie do stojącego obok mnie zwierzęcia. Otwieram usta, żeby ją ostrzec, ale jest za późno. Pies się odwraca. Nie warczy, tylko szczeka, ujada i kłapie zębami, a mięśnie napinają mu się jak kłębki drutu. Szykuje się do skoku. Bez namysłu sama skaczę. Rzucam się na psa, ściskam ramionami jego grubą szyję.

Uderzam głową o podłogę. Zwierzę znika, mała dziewczynka też. Jestem w sali testów sama. Powoli się obracam i nie widzę

siebie w żadnym z luster. Otwieram drzwi, wychodzę na korytarz, ale to nie korytarz, to autobus. Wszystkie miejsca są zajęte.

Staję w przejściu między siedzeniami, łapię się poręczy. Obok siedzi jakiś mężczyzna z gazetą. Papier zasłania mu twarz, ale widzę jego dłonie. Ma na nich blizny, chyba od poparzeń. Ściska gazetę tak mocno, jakby chciał ją pomic.

– Znasz tego faceta? – pyta.

Stuka palcem w fotografię na pierwszej stronie. Nad nią jest nagłówek: „Brutalny morderca wreszcie schwytany!”. Wpatruję się w słowo „morderca”. Dużo czasu minęło, odkąd ostatnio je czytałam, sam jego kształt napędza mnie przerażeniem.

Na zdjęciu widać brodatego młodego mężczyznę o zwyczajnej twarzy. Mam wrażenie, że skądś go znam, ale nie potrafię sobie przypomnieć skąd. Jednocześnie wydaje mi się, że to zły pomysł, żeby się do tego przyznawać.

– I co? – W jego głosie słyszę złość. – Znasz go?

Zły pomysł. Nie – bardzo zły pomysł. Serce mi wali. Mocno ściskam poręcz. Chcę powstrzymać drżenie rąk, żeby się nie zdradzić. Jeśli przyznam się, że znam człowieka ze zdjęcia, to stanie się ze mną coś strasznego. Muszę jakoś przekonać mężczyznę, że nie znam. Mogę chrząknąć i wzruszyć ramionami – chociaż wtedy skłamię.

Chrząkam.

– Znasz go?

Wzruszam ramionami.

– No to jak?

Przechodzi mnie dreszcz. Mój strach nie ma sensu. To tylko test, to nie dzieje się naprawdę.

– Nie znam – odpowiadam swobodnie. – Nie mam pojęcia, kto to jest.

Mężczyzna wstaje, wreszcie widzę jego twarz. Nosi okulary przeciwsłoneczne, ze złością wykrzywia usta. Jego policzek poznaczony jest bliznami, tak samo jak jego dłonie. Oddech cuchnie

mu papierosami. To nie dzieje się naprawdę, przypominam sobie.
To nie dzieje się naprawdę.

– Kłamiesz – mówi. – Kłamiesz!

– Nie kłamię.

– Widzę po twoich oczach.

Prostuję się.

– Na pewno nie.

– Jeśli go znasz – ścisza głos – mogłabyś mnie uratować. Mogłabyś mnie uratować!

Mrużę oczy.

– Hm. – Zagryzam zęby. – Nie znam.



ROZDZIAŁ 3

Kiedy się budzę, mam spocone dłonie, a w dołku ściska mnie poczucie winy. Leżę na fotelu w sali z lustrami. Odchylam głowę i widzę za sobą Tori. Zaciska wargi, zdejmuje elektrody z naszych głów. Czekam, aż powie coś o teście – że się skończył albo że dobrze wypadł. Chociaż czy taki test w ogóle może źle wypaść? Jednak niczego nie mówi, tylko dalej ściąga mi kable z czoła.

Siadam, wycieram dłonie o spodnie. Musiałam zrobić coś nie tak, nawet jeśli tylko we własnej wyobraźni. Czy Tori ma taką dziwną minę, bo nie wie, jak mi powiedzieć, że okropny ze mnie człowiek? Chcę, żeby coś powiedziała.

– To było zdumiewające – mówi. – Przepraszam, zaraz wracam. Zdumiewające?

Przyciągam kolana do piersi i chowam w nich twarz. Chciałabym się popłakać, bo łzy przyniosłyby mi ulgę, ale nie potrafię. Jak można oblać test, do którego nie wolno się przygotować?

Czas mija, ja coraz bardziej się denerwuję. Co kilka sekund muszę wycierać pot z dłoni – a może po prostu tak robię, bo to pomaga mi się uspokoić. A jeśli stwierdzą, że się nie nadaję do żadnej frakcji? Musiałabym wtedy żyć na ulicy, razem z resztą bezfrakcyjnych. Ja tak nie mogę. Brak frakcji to nie tylko życie

w biedzie i niewygodzie. To także życie w odcięciu od reszty społeczeństwa, od tego, co najważniejsze – od wspólnoty.

Matka powiedziała mi kiedyś, że samotnie nie da się przeżyć – a gdyby nawet jakoś się udało, to nikt nie chce takiego życia. Bez frakcji nie miałoby celu ani sensu.

Kręcę głową. Nie wolno mi tak myśleć. Muszę być spokojna.

Wreszcie drzwi się otwierają i wchodzi Tori. Łapię za poręcz fotela.

– Przepraszam, że cię zmartwiłam – mówi. Staje obok mnie, z rękami w kieszeniach. Jest zdenerwowana i błada. – Beatrice, twoje wyniki nie były jednoznaczne. Zwykle na każdym etapie symulacji eliminuje się jedną albo więcej frakcji, ale w twoim przypadku wykluczono tylko dwie.

Wpatruję się w nią.

– Dwie? – Gardło mam tak ściśnięte, że aż ciężko mi mówić.

– Gdybyś odruchowo poczuła niechęć do noża i wybrała ser, symulacja poprowadziłaby cię według innego scenariusza, który potwierdziłby twoją przynależność do Serdeczności. Tak się nie stało, dlatego Serdeczność została wykluczona. – Tori drapie się po karku. – Zazwyczaj symulacja postępuje liniowo, wskazuje jedną frakcję poprzez wykluczenie innych. Twoje wybory nie pozwalały jednak wykluczyć drugiej możliwości, Prawości, dlatego musiałam zmienić symulację i umieścić cię w autobusie. Ten twój upór przy nieprawdzie wykluczył Prawość. – Uśmiecha się lekko. – Nie martw się. W tamtej sytuacji tylko Prawy by nie skłamał.

Rozluźnia się jeden z węzłów zasupłanych w moim żołądku. Może nie jestem aż taka okropna.

– To jednak nie mówi wszystkiego. Nie kłamię Prawi... ale i Altruści – ciągnie. – I tu mamy problem.

Otwieram usta.

– Z jednej strony, wołałaś sama rzucić się na psa, niż pozwolić mu zaatakować dziewczynkę, a to reakcja zorientowana na Altruizm... a z drugiej, kiedy tamten mężczyzna powiedział,

że prawda by go uratowała, i tak nie chciałaś jej zdradzić. Taka odpowiedź nie wskazuje już na Altruizm – wzdycha. – To, że nie uciekałaś przed psem, świadczy o przynależności do Nieustraszonych, ale na to samo wskazuje wybór noża, a tego nie zrobiłaś – chrząka. – Z rozmysłem zareagowałaś na psa, i to wskazuje na silną skłonność do Erudycji. Nie mam pojęcia, co skłoniło cię do decyzji podjętych na pierwszym etapie, ale...

– Chwileczkę – przerywam jej. – Czyli nie masz pojęcia, jaka jest moja przynależność?

– I tak, i nie. Moim zdaniem jednakowo nadajesz się do Altruizmu, Nieustraszonych i Erudycji – wyjaśnia. – Takich, którzy uzyskują podobny wynik... – ogląda się przez ramię, jakby myślała, że ktoś się za nią pojawi – nazywa się Niezgodnymi.

Ostatnie słowo wypowiada tak cicho, że ledwo je słyszę. Znowu wygląda na zdenerwowaną i zmartwioną. Obchodzi hotel i nachyla się do mnie.

– Beatrice, w żadnym wypadku nie mów o tym nikomu. To bardzo ważne.

– Nie wolno nam rozmawiać o wynikach testów. – Kiwam głową. – Wiem.

– Nie. – Przykuca obok fotela i opiera ramiona o poręcz. Nasze twarze są w odległości zaledwie kilku centymetrów. – To coś innego. Nie chodzi mi o to, że masz teraz o tym nie mówić; chodzi o to, że nigdy nie wolno ci o tym mówić, nikomu, nie ważne, co się wydarzy. Niezgodność jest bardzo niebezpieczna. Rozumiesz?

Nie rozumiem. Jak wynik testu, który nie daje rozstrzygnięcia, może być niebezpieczny? Mimo to przytakuję. I tak nie mam ochoty opowiadać o swoich wynikach.

– Dobrze. – Zsuwam ręce z poręczy i wstaję. Jest mi nieswojo.

– Proponuję, żebyś teraz poszła do domu. Musisz przemyśleć wiele spraw, a czekanie razem z innymi nic ci nie da.

– Muszę powiedzieć bratu, dokąd idę.

– Ja mu powiem.

Dotykam czoła. Kiedy wychodzę z sali, wpatruję się w podłogę. Nie potrafię spojrzeć Tori w oczy. Nie potrafię myśleć o jutrzejszej Ceremonii Wyboru.

Wybór należy teraz do mnie, bez względu na test.

Altruizm, Nieustraszonosc. Erudycja.

Niezgodność.

★

Postanawiam nie jechać autobusem. Jeśli wrócę wcześniej, ojciec to zauważy, gdy pod koniec dnia sprawdzi domowe rejestry, i będę musiała wytłumaczyć, co się stało. Idę więc piechotą. Muszę spotkać się z Calebem, zanim powie coś rodzicom. Caleb potrafi dochować tajemnicy.

Idę środkiem ulicy. Autobusy zwykle jeżdżą blisko krawężników, więc tutaj jest bezpieczniej. Czasem na ulicach niedaleko swojego domu widzę ślady żółtych linii. Teraz, gdy jeździ tak mało samochodów, linie do niczego się nie przydają. Nie potrzebujemy też sygnalizatorów, ale gdzieś tam jeszcze kołyszają się groźnie nad ulicą, jakby w każdej chwili mogły spaść.

Powoli odnawiane miasto to przeplatanka nowych, czystych budynków i starych, wałących się ruder. Nowe domy stoją głównie niedaleko bagna, które dawno temu było jeziorem. Większość remontów przeprowadza agencja ochotników z Altruizmu, dla której pracuje moja matka.

Gdy patrzę z boku na życie Altruistów, myślę sobie, że jest piękne. Kiedy obserwuję harmonię swojej rodziny; kiedy wspólnie idziemy na kolację, a potem razem sprzątamy i nikogo nie trzeba o to prosić; kiedy widzę, jak Caleb pomaga obcym ludziom nosić zakupy – wtedy znowu zakochuję się w tym życiu. Problemy zaczynają się dopiero, gdy sama próbuję tak żyć. Chyba nigdy nie robię tego szczerze.

Jednak wybór innej frakcji oznaczałby, że na zawsze opuszczę rodzinę.

Zaraz za sektorem Altruizmu ciągnie się pasmo szkieletów domów i popękanych chodników, przez które teraz idę. W niektórych miejscach droga zupełnie się zapadła, odsłaniając kanały i puste tunele metra – muszę je uważnie omijać. Gdzie indziej tak mocno śmierdzi odpadkami i ściekami, że zatykam nos.

To właśnie tutaj mieszkają bezfrakcyjni. Nie udało im się przejść inicjacji w wybranej frakcji, dlatego żyją w nędzy i zajmują się tym, czego inni nie chcą robić. Są dozorcami, śmieciarzami, pracują na budowach, przędą tkaniny, kierują pociągami i autobusami. Za swoją pracę dostają jedzenie i ubranie. Ale jak powtarza matka, jednego i drugiego za mało.

Widzę jakiegoś bezfrakcyjnego, stoi przede mną na rogu ulicy. Nosi podarte brązowe łachmany, na szczęce ma obwisłą skórę. Wpatruje się we mnie. Odwzajemniam spojrzenie, nie potrafię odwrócić wzroku.

– Przepraszam – odzywa się zachrypniętym głosem. – Masz jakieś jedzenie?

Coś ściska mnie za gardło. Słyszę wewnętrzny surowy nakaz: „Schyl głowę i idź dalej”. Nie, nie powinnam bać się tego człowieka. Potrzebuje pomocy, a ja powinnam mu pomóc.

– Eee... tak – odpowiadam.

Sięgam do torby. Ojciec mówi, żebym zawsze nosiła coś do jedzenia, właśnie na taki wypadek. Podaję mężczyźnie małą paczkę suszonych kawałków jabłka.

Sięga po nie, ale zamiast wziąć owoce, zaciska dłoń na moim nadgarstku. Uśmiecha się. Na przodzie brakuje mu zęba.

– Rany, ale ty masz piękne oczy – mówi. – Szkoda, że cała reszta taka zwyczajna.

Serce mi łomocze. Szarpię rękę, ale on ściska jeszcze mocniej. W jego oddechu wyczuwam coś kwaśnego i nieprzyjemnego.

– Kochana, chyba jesteś trochę za młoda, żeby tu sama chodzić.

Przestaję się szarpać, bardziej się wyprostowuję. Wiem, że wyglądam na młodszą. Nie trzeba mi tego przypominać.

– Jestem starsza, niż wyglądam – odpowiadam. – Mam szesnaście lat.

Facet szerzej otwiera usta, odsłania szary trzonowiec z ciemną dziurą z boku. Trudno stwierdzić, czy się teraz śmieje, czy krzywi.

– Więc dzisiaj jest twój specjalny dzień? Dzień przed wyborem?

– Puść mnie. – W uszach mi dzwoni. Mój głos brzmi wyraźnie i stanowczo. Nie spodziewałam się tego. Jakby nie należał do mnie.

Jestem gotowa. Wiem, co robić. Wyobrażam sobie, jak cofam łokieć i uderzam. Widzę odlatującą ode mnie torebkę z jabłkami. Słyszę, jak biegnę. Jestem gotowa do akcji.

Ale wtedy bezfrakcyjny puszcza nadgarstek, zabiera jabłka i mówi:

– Wybierz mądrze, dziewczynko.



ROZDZIAŁ 4

Według zegarka na swoją ulicę docieram pięć minut wcześniej niż zwykle. Zegarek to jedyna ozdoba, jaką wolno nosić Altruistom, tylko dlatego, że jest potrzebna. Mój ma szary pasek i szklaną szybkę. Jeśli odpowiednio ją przechylę, na ręce prawie widzę swoje odbicie.

Na mojej ulicy wszystkie domy mają ten sam rozmiar i kształt. Zbudowane są z szarego betonu. Do tego kilka okien – takich zwykłych, praktycznych prostokątów. Na trawnikach rośnie palusznik, a skrzynki pocztowe są z matowego metalu. Niektórym ten widok może się wydawać ponury, ale mnie uspokaja jego prostota.

Wbrew temu, co myślą w innych frakcjach, ta prostota nie wzięła się z niechęci do oryginalności. Domy, ubrania, fryzury mają nam pomóc zapomnieć o sobie samych i chronić przed próżnością, chciwością i zawiścią, które są odmianami egoizmu. Kiedy posiadamy niewiele, to i chcemy niewiele, wszyscy jesteśmy równi, niczego sobie nie zazdrościmy.

Próbuję to polubić.

Siadam przed domem na schodkach i czekam na Caleba. Nie trwa to długo. Po chwili widzę ubrane na szaro postacie idące ulicą. Słyszę śmiech. W szkole staramy się nie zwracać na siebie

uwagi, w domu jednak zaczynamy się bawić i śmiać. Ale nawet wtedy nikt nie lubi moich złośliwych uwag. Złośliwość jest zawsze czyimś kosztem. Może i lepiej, że w Altruizmie każą mi ją tłumić. Może wcale nie muszę opuszczać rodziny. Może gdybym bardzo się starała zachowywać jak Altruistka, udawanie zmieniłoby się w rzeczywistość.

– Beatrice! – woła Caleb. – Co się stało? Nic ci nie jest?

– Nie, w porządku.

Caleb stoi z Susan i jej bratem Robertem. Susan patrzy na mnie jakoś dziwnie, jakbym była kimś innym, a nie tą, którą знаła jeszcze dzisiaj rano. Wzruszam ramionami.

– Po teście zrobiło mi się niedobrze. To pewnie przez ten płyn, który nam dali. Ale już mi lepiej.

Staram się uśmiechać przekonywająco. Z Susan i Robertem chyba mi się udało, bo nie wyglądają już na przejętych moim zdrowiem psychicznym, ale Caleb mruży oczy, jak zawsze, kiedy podejrzewa kogoś o kłamstwo.

– Jechaliście dzisiaj autobusem? – pytam. Wcale mnie nie obchodzi, jak Susan i Robert wracali ze szkoły, ale muszę zmienić temat.

– Ojciec musiał pracować do późna – odpowiada Susan – i powiedział, żebyśmy trochę porozmysłali przed jutrzejszą ceremonią.

Serce wali mi na myśl o ceremonii.

– Jak chcesz, przyjdź później, będziesz mile widziana – uprzejmie zaprasza ją Caleb.

– Dziękuję. – Susan uśmiecha się do niego.

Robert unosi brew, patrzy na mnie. Wymieniamy się takimi spojrzeniami już od roku, od kiedy Susan i Caleb zaczęli nieśmiało flirtować, tak jak to robią tylko Altruści. Mój brat odprowadza Susan wzrokiem. Aż muszę go szarpnąć za ramię, żeby się ocknął. Idziemy do domu, zamykam za nami drzwi.

Caleb odwraca się do mnie. Jego ciemne, proste brwi zbiegają się i pojawia się między nimi zmarszczka. Kiedy robi taką minę,

bardziej niż matkę przypomina ojca. Widzę wtedy, jak jego dalsze życie układa się tak jak życie ojca. Zostaje w Altruizmie, uczy się zawodu, żeni z Susan i zakłada rodzinę. Cudowne.

Mogę tego już nigdy nie zobaczyć.

– Teraz powiesz mi prawdę? – pyta cicho.

– Prawda jest taka, że mam z tobą o tym nie rozmawiać. A ty masz mnie o to nie pytać.

– Naginasz wszystkie zasady, a tej jednej nie możesz? Nawet w tak poważnej sprawie? – Marszczy brwi, przygryza kącik ust. Chociaż jego słowa brzmią oskarżycielsko, to chyba chodzi mu o wydobywanie ze mnie informacji. Jakby naprawdę zależało mu na odpowiedzi.

Mrużę oczy.

– A ty powiesz? Caleb, co było w twoim teście?

Patrzemy na siebie. Słyszę gwizd lokomotywy, tak cichy, że równie dobrze mógłby to być tylko wiatr wyjący na ulicach. Poznają ten dźwięk. Brzmi w nim Nieustraszonosc, wzywa mnie.

– Tylko... nie mów rodzicom, co się stało, okej? – odzywam się po chwili.

Przez moment spogląda mi w oczy, wreszcie kiwa głową.

Chcę iść na górę i się położyć. Test, spacer i spotkanie z bezfrakcyjnym zupełnie mnie wykończyły. Ale Caleb zrobił dzisiaj śniadanie, mama lunch, a wczoraj wieczorem kolację przygotował ojciec, więc teraz moja kolej. Biorę głęboki wdech i ruszam do kuchni.

Przychodzi do mnie Caleb. Zaciskam zęby. We wszystkim mi pomaga. Najbardziej denerwuje mnie w nim właśnie ta naturalna dobroć, ta wrodzona ofiarnosc.

Pracujemy razem, nie odzywamy się do siebie. Gotuję groszek na kuchence. Caleb rozmraża cztery kawałki kurczaka. Teraz jemy głównie mrożonki albo konserwy, bo farmy leżą bardzo daleko. Matka kiedyś mi opowiadała, że dawno temu byli tacy ludzie, którzy specjalnie nie kupowali żywności genetycznie

zmodyfikowanej, bo uważali, że jest nienaturalna. My nie mamy wyboru.

Gdy rodzice wracają do domu, kolacja jest gotowa, a stół nakryty. Ojciec stawia teczkę na podłodze i całuje mnie w głowę. Inni widzą w nim człowieka, który nie znosi sprzeciwu, może nawet za bardzo – ale on jest też czuły. Staram się dostrzegać tylko jego dobre strony. Naprawdę się staram.

– Jak poszedł test? – pyta.

Nakładam groszek do wazy.

– Świetnie. – Nie mogłabym zostać Prawą. Za łatwo kłamię.

– Słyszałam, że przy jednym z testów zrobiło się jakieś zamieszanie – wtrąca się matka.

Tak jak ojciec, ona też pracuje w administracji, ale kieruje projektami związanymi z rozwojem miasta. Zajmuje się rekrutacją ochotników do przeprowadzania testów przynależności. Większość czasu spędza jednak na pomocy bezfrakcyjnym. Zaopatrjuje ich w jedzenie, szuka dla nich mieszkań i pracy.

– Naprawdę? – zaciekawia się ojciec.

Problemy z testami przynależności zdarzają się rzadko.

– Niewiele o tym wiem, ale moja przyjaciółka Erin mówiła, że przy jednym z testów coś poszło tak źle, że wyniki trzeba było podać ustnie. – Matka kładzie serwetkę przy każdym nakryciu. – Najwyraźniej jakiś uczeń źle się poczuł i odesłano go wcześniej do domu. – Wzrusza ramionami. – Mam nadzieję, że nikomu nic się nie stało. A wy, słyszeliście coś o tym?

– Nie. – Caleb uśmiecha się do matki.

On też nie mógłby zostać Prawym.

Siedzimy przy stole. Posiłek zawsze podajemy od prawej strony, nikt nie zaczyna jeść, aż wszyscy go nie dostaną. Ojciec wyciąga ręce do matki i brata, a oni wyciągają ręce do niego i do mnie. Dziękuje Bogu za jedzenie, pracę, przyjaciół i rodzinę. W Altruizmie nie wszystkie rodziny są religijne, ale ojciec mówi, że powinniśmy starać się nie dostrzegać takich różnic, bo to tylko by nas dzieliło. Nie wiem, co o tym myśleć.

– A teraz – matka zwraca się do ojca – opowiadaj.

Chwyta ojca za dłoń i kciukiem zatacza mu małe kółko po kostkach. Wpatruję się w ich złączone ręce. Moi rodzice się kochają, ale przy nas rzadko okazują sobie czułość. Uczyli nas, że kontakt fizyczny ma w sobie wielką siłę, dlatego od dziecka się go wystrzegam.

– No, powiedz, co cię dręczy? – dodaje matka.

Wpatruję się w talerz. Czasem zaskakuje mnie jej wyczucie. Teraz mam wyrzuty sumienia. Dlaczego tak bardzo skupiłam się na sobie, że nie zauważyłam głębokiej zmarszczki na czole ojca i tego, że się zgarbił?

– Miałem ciężki dzień w pracy – zaczyna. – Tak naprawdę to Marcus miał ciężki dzień. Nie powinienem mieć do niego pretensji.

Marcus pracuje razem z ojcem. Obaj stoją na czele rządu. Miastem rządzi rada złożona z pięćdziesięciu osób, samych przedstawicieli Altruizmu, bo naszą frakcję uważa się za nieprzekupną właśnie dlatego, że jesteśmy tacy bezinteresowni. Liderzy Altruizmu są wybierani spośród równych, bierze się przy tym pod uwagę nienaganny charakter, przywiązanie do zasad i zdolności przywódcze. Przedstawiciele innych frakcji na spotkaniach rady mogą wypowiadać się w różnych sprawach, ale to ona podejmuje ostateczną decyzję. Jej członkowie działają wspólnie, ale Marcus ma największe wpływy.

Tak jest od nastania Wielkiego Pokoju, kiedy utworzono frakcje. Myślę, że ten system przetrwał, bo wszyscy się boimy tego, do czego by doszło, gdyby go nie było: wojny.

– Chodzi o ten reportaż Jeanine Matthews? – pyta matka.

Jeanine Matthews jest w radzie jedyną przedstawicielką Eru-dycji. Wybrano ją, bo ma wysoki iloraz inteligencji. Ojciec często na nią narzeka.

Unoszę wzrok.

– Reportaż?

Caleb rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. Nie wolno nam odzywać się przy stole, chyba że rodzice o coś zapytają. Zwykle

tego nie robią. Ojciec mówi, że uwaga, jaką im poświęcamy, to nasz dar dla nich. Oni poświęcają nam uwagę po kolacji w salonie.

– Tak. – Ojciec mruży oczy. – Ci aroganccy, przemądrzali... – urywa i chrząka. – Przepraszam. Ale ona w reportażu atakuje charakter Marcusa.

Unoszę brwi.

– Co to znaczy? – pytam.

– Beatrice. – Caleb gasi mnie spokojnie.

Pochylam głowę, obracam widelec – tam i z powrotem, tam i z powrotem. Czekam, aż przestaną mnie piec policzki. Nie lubię, jak ktoś mi zwraca uwagę. Szczególnie brat.

– To znaczy – odpowiada ojciec – że jej zdaniem syn Marcusa wybrał Nieustraszoną zamiast Altruizmu, bo Marcus był dla niego okrutny i brutalny.

Niewiele osób urodzonych w Altruizmie postanawia go opuścić. Kiedy stanie się coś takiego, pamiętamy o tym. Dwa lata temu Tobias, syn Marcusa, przeszedł z naszej frakcji do Nieustraszonych. Marcus się załamał. Tobias jest jego jedynym dzieckiem – i jedyną rodziną, od kiedy żona zmarła, rodząc drugie dziecko. Noworodek umarł kilka minut po niej.

Nigdy nie spotkałam Tobiasa. Rzadko brał udział we wspólnych uroczystościach naszej społeczności i nigdy nie przychodził do nas z ojcem na kolację. Mój ojciec często mówił, że to dziwne – ale teraz to już bez znaczenia.

– Okrutny? Marcus? – Matka kręci głową. – Biedny człowiek. Jakby jeszcze trzeba mu było przypominać o stracie.

– Chciałaś powiedzieć: o zdradzie, jakiej dopuścił się jego syn? – odparł chłodno ojciec. – Nie powinienem się temu dziwić. Erudycja atakuje nas tymi reportażami już od miesiący. A to jeszcze nie koniec. Będzie tego więcej, zapewniam.

Nie powinnam znowu się odzywać, ale nie potrafię się powstrzymać.

– Dlaczego to robią? – wypalam.

– Beatrice, a dlaczego nie korzystasz z okazji, żeby teraz wysłuchać swojego ojca? – odpowiada łagodnie matka. Jej słowa są sugestią, nie poleceniem.

Patrzę ponad stołem na Caleba. Jego oczy mają wyraz niezadowolenia.

Wpatruję się w swój groszek. Nie jestem pewna, czy umiałabym dalej żyć w takim posłuszeństwie. Nie jestem w tym wystarczająco dobra.

– Dobrze wiesz dlaczego – ciągnie ojciec. – Bo mamy coś, czego chcą. Kiedy niepohamowana żądza wiedzy prowadzi do żądzy władzy, człowiek błądzi, podąża w mrok i pustkę. Powinniśmy się cieszyć, że jesteśmy mądrzejsi.

Przytakuje. Wiem, że nie wybiorę Erudycji, nawet jeśli z mojego testu by wynikało, że mogłabym. Jestem nieodrodną córką swojego ojca.

Rodzice sprzątają po obiedzie. Calebowi też nie pozwalają, żeby im pomagał, bo dzisiaj musimy być sami, a nie siedzieć w salonie. Mamy przemyśleć test.

Gdybym tylko mogła porozmawiać o tych wynikach, rodzina pewnie wsparłaby mnie w dokonywaniu wyboru. Ale mi nie wolno. Za każdym razem, gdy już słabnie moje postanowienie, żeby trzymać buzię na kłódkę, słyszę w myślach ostrzegawczy szept Tori.

Razem z Calebem wchodzę po schodach, ale na górze, gdy się rozdzielamy i idziemy do swoich sypialni, brat mnie zatrzymuje, kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Beatrice – zaczyna poważnym tonem i patrzy mi prosto w oczy. – Powinniśmy myśleć o naszej rodzinie. – W jego głosie pojawia się zawziętość. – Ale musimy też myśleć o sobie.

Przez chwilę wpatruję się w niego. Jeszcze nigdy dotąd nie widziałam, żeby myślał o sobie, jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby namawiał do czegoś innego niż ofiarność.

Jestem tak zaskoczona słowami brata, że po prostu mówię to, czego by ode mnie oczekiwano:

– Testy nie muszą zmieniać naszych wyborów.

Caleb uśmiecha się lekko.

– A może powinny?

Ściska mi ramię i idzie do swojego pokoju. Zaglądam do niego, widzę niepościelone łóżko i stos książek na biurku. Caleb zamyka drzwi. Chciałabym móc mu powiedzieć, że oboje czujemy to samo. Chciałabym porozmawiać z nim tak, jak chcę, a nie jak powinnam. Ale przyznać się, że sama potrzebuję pomocy... na to nie mogę się zdobyć – dlatego się odwracam.

Wchodzę do swojego pokoju. Kiedy zamykam za sobą drzwi, uświadamiam sobie, że decyzja może okazać się łatwa. Wybranie Altruizmu wymaga wielkiej bezinteresowności, a wybranie Nieustraszonych wielkiej odwagi. Ta cecha, która jutro przeważy, pokaże, do czego pasuję. Jutro obie cechy będą we mnie walczyć i tylko jedna wygra.



ROZDZIAŁ 5

Autobus, którym jedziemy na Ceremonię Wyboru, jest pełen ludzi w szarych koszulach i szarych spodniach. Błady krąg słonecznego światła przepala chmury jak końcówka żarzącego się papierosa. Sama nigdy nie paliłam – to ściśle wiąże się z próżnością – ale kiedy wysiadamy z autobusu, przed budynkiem stoi tłum Prawych i pali.

Żeby zobaczyć górną część Bazy, muszę odchylić głowę, a i tak fragment gmachu chowa się w chmurach. To najwyższa budowla w mieście. Z okna sypialni widzę światła dwóch anten na jej dachu.

Wysiadam z autobusu za rodzicami. Caleb wydaje się spokojny, też bym była, gdybym wiedziała, co robić. Mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Kiedy wchodzę po schodach do głównego wejścia, opieram się na ramieniu brata.

W windzie jest tłok, więc ojciec ustępuje miejsca frakcji Serdecznych. Wchodzimy schodami. Idziemy za nim bez słowa, dając przykład innym osobom z naszej frakcji, i wkrótce całą naszą trójkę wchłania masa ubranych na szaro ludzi, którzy w przyćmionym świetle wspinają się po betonowych stopniach. Dostosowuję się do ich tempa. Tupot równego kroku rozbrzmiewający

mi w uszach i jednolity wygląd otaczających mnie osób sprawiają, że zaczynam myśleć o wybraniu właśnie czegoś takiego. Mogłabym dołączyć do wspólnego umysłu Altruizmu, zajmować się tylko tym, co dotyczy innych.

Ale zaczynają mnie boleć nogi, z trudem łapię oddech i znowu się rozpraszam. Żeby dotrzeć na Ceremonię Wyboru, musimy wdrapać się po dwudziestu ciągach schodów.

Ojciec przytrzymuje otwarte drzwi na dwudziestym piętrze. Mijany przez wchodzących Altruistów, stoi w nich jak strażnik. Poczekałabym na niego, ale tłum pcha mnie dalej, wypycha z klatki schodowej do sali, gdzie zadecyduję o reszcie swojego życia.

Zgromadzeni ustawili się w kręgi. Na obrzeżach są szesnastolatkwie ze wszystkich frakcji. Jeszcze nie nazywa się nas członkami. Po podjętych dzisiaj decyzjach staniemy się nowicjuszami – a pełnię praw uzyskamy po zakończeniu nowicjatu.

Ustawiamy się w porządku alfabetycznym, według nazwisk – które dzisiaj będziemy mogli porzucić. Staję między Calebem a Danielle Pohler, dziewczyną z Serdeczności. Ma różowe policzki, a na sobie żółtą sukienkę.

Następny krąg tworzą krzesła przeznaczone dla członków rodzin. Podzielono je na pięć części, według frakcji. Na Ceremonię Wyboru nie przychodzą wszyscy, ale jest tyle ludzi, że tłum wydaje się ogromny.

Co roku ceremonię przeprowadza inna frakcja. Teraz zajmuje się tym Altruizm. Marcus rozpocznie od przemówienia, a potem odczyta nazwiska w odwróconym porządku alfabetycznym. Caleb wybierze więc przede mną.

Ostatni krąg to pięć metalowych mis. Każda z nich jest taka duża, że gdybym się skuliła, schowałabym się w niej cała. Umieszczono w nich substancje odpowiadające różnym frakcjom. Szare kamienie symbolizują Altruizm, woda Erudycję, ziemia Serdeczność, rozżarzone węgle Nieustraszonosć, a szkło Prawość.

Kiedy Marcus odczyta moje nazwisko, wyjdę na środek trzeciego kręgu. Nie będę się odzywać. Marcus poda mi nóż. Natnę sobie rękę i upuszczę trochę krwi do misy wybranej frakcji.

Moja krew na kamieniach. Moja krew sycząca na węglach.

Rodzice, zanim usiądą, stają przede mną i Calebem. Ojciec całuje mnie w czoło, potem z szerokim uśmiechem klepie Caleba po ramieniu.

– Niedługo się zobaczymy – mówi. Nie okazuje żadnych wątpliwości.

Matka mnie przytula i wtedy niemal tracę tę odrobinę przekonania, która jeszcze mi pozostała. Zaciskam zęby, wpatruję się w sufit, tam gdzie wisi kulista lampa wypełniająca salę niebieskim światłem. Matka długo mnie przyciska, nawet kiedy ja już opuściłam ręce. W końcu się odsuwa, ale przedtem jeszcze szepcze mi do ucha: „Kocham cię. Nieważne, co się stanie”.

Marszczę brwi, gdy odwraca się plecami i odchodzi. Wie, co mogę dzisiaj zrobić. Na pewno wie, bo inaczej nie czułaby potrzeby, żeby mówić coś takiego.

Caleb łapie mnie za dłoń i ściska tak mocno, że aż boli, ale nie protestuję. Ostatnim razem trzymaliśmy się za ręce na pogrzebie wujka, kiedy ojciec płakał. Teraz nawzajem potrzebujemy swojej siły, tak jak potrzebowaliśmy jej wtedy.

W sali powoli zapanowuje porządek. Powinnam się teraz przyglądać Nieustraszonym, dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Ale jestem w stanie tylko gapić się na lampy po drugiej stronie sali. Chcę się rozpuścić w ich błękitnym świetle.

Marcus stoi na podium, między Erudytami a Nieustraszonymi. Odchrząkuje przed mikrofonem.

– Witam. Witam na Ceremonii Wyboru. Witam w dniu, w którym oddajemy hołd demokratycznej filozofii wyznawanej przez naszych przodków. Ona mówi nam, że każdy człowiek ma prawo wybrać własną drogę przez świat.

A raczej, co właśnie zrozumiałam, jedną z pięciu już wytyczonych dróg. Ściskam palce Caleba tak mocno jak on moje.

– Nasi podopieczni skończyli szesnaście lat. Stoją u progu dorosłości i teraz od nich zależy decyzja, jakimi ludźmi się staną. – Marcus mówi podniosłym tonem, każdemu słowu nadaje taką samą wagę. – Przed dziesięcioleciem nasi przodkowie uświadomili sobie, że za toczony na świecie wojny trzeba winić polityczną ideologię, a nie wierzenia religijne, rasę czy pochodzenie. Doszli do wniosku, że chodzi o wadę ludzkiej osobowości, o skłonność człowieka do czynienia zła, niezależnie od jego formy. Podzielili się na frakcje i starali się usunąć z nich te cechy, które, jak sami wierzyli, odpowiadają za nieporządek na świecie.

Przenoszę spojrzenie na misy stojące pośrodku sali. A w co ja wierzę? Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem.

– Ci, którzy potępiли agresję, stworzyli Serdeczność.

Członkowie Serdeczności uśmiechają się do siebie. Mają wygodne czerwone i żółte ubrania. Zawsze, kiedy na nich patrzę, wydają się tacy mili, kochający, wolni. Jednak to, że bym do nich dołączyła, nigdy nie wchodziło w rachubę.

– Ci, którzy potępiли ignorancję, stali się Erudytami.

Wykluczenie Erudycji było dla mnie jedynym łatwym wyborem.

– Ci, którzy potępiли dwulicowość, stworzyli frakcję Prawości. Nigdy nie lubiłam Prawych.

– Ci, którzy potępiли egoizm, stali się Altruistami.

Potępiam egoizm. O, tak.

– A ci, którzy potępiли tchórzostwo, są Nieustraszonymi.

Ale ja przecież nie jestem wystarczająco bezinteresowna. Już szesnaście lat próbuję i wciąż mi nie wychodzi.

Drętwięją mi nogi, jakby powoli obumierały. Zastanawiam się, jak będę szła, kiedy wyczytają moje nazwisko.

– Pracując wspólnie, pięć frakcji przez wiele lat żyło w pokoju, a każda z nich wносиła swój wkład w życie społeczeństwa. Dzięki Altruizmowi mamy bezinteresownych administratorów; Prawość dała nam solidnych i godnych zaufania instruktorów w dziedzinie prawa; Erudycja inteligentnych nauczycieli i badaczy;

Serdeczność pełnych współczucia doradców oraz opiekunów; Nieustrasżoność obronę przed zagrożeniami, zarówno wewnętrznymi, jak i zewnętrznymi. Jednak oddziaływanie każdej frakcji nie ogranicza się tylko do tych sfer. Nawzajem dajemy sobie znacznie więcej, niż można by to odpowiednio podsumować. W naszych frakcjach odnajdujemy sens, odnajdujemy cel, odnajdujemy życie.

Myślę o motcie, które przeczytałam w podręczniku historii frakcji: „Frakcja ponad krwią”. Przede wszystkim jesteśmy członkami frakcji, dopiero potem należymy do rodziny. Czy to w porządku?

– Bez nich nie przetrwalibyśmy – dodaje Marcus.

Cisza, która nastaje po tych słowach, jest cięższa od innych chwil ciszy. Ciężka od naszego największego lęku, większego nawet od strachu przed śmiercią: lęku przed bezfrakcyjnością.

Marcus mówi dalej.

– Dlatego ten dzień jest dniem szczęśliwego wydarzenia. To dzień, kiedy przyjmujemy naszych nowicjuszy, którzy wspólnie z nami będą pracować, aby ulepszyć społeczeństwo, aby ulepszyć świat.

Rozbrzmiewają oklaski. Są jakby stłumione. Próbuje stać całkiem bez ruchu, bo kiedy kolana mi drętwieją i ciało sztywnieje, to się nie trzęsę. Marcus odczytuje pierwsze nazwiska, ale nawet nie rozróżniam sylab. Skąd będę widziała, że wyczytał moje?

Jeden po drugim szesnastolatki wychodzą z kręgu i idą na środek sali. Pierwsza dziewczyna wybiera Serdeczność, frakcję, z której pochodzi. Patrzę, jak krople jej krwi spadają na ziemię w misie i jak potem samotnie staje za krzesłami, na których siedzą członkowie jej frakcji.

W sali nie ustaje ruch, cały czas wyczytywane są nowe nazwiska, cały czas nowe osoby podejmują decyzje. Nowe noże, nowe wybory. Rozpoznaję większość tych osób, ale wątpię, żeby one mnie znały.

– James Tucker – wywołuje Marcus.

James Tucker z Nieustraszonych jest pierwszym, który się potyka, gdy podchodzi do mis. Wyrzuca przed siebie ramiona i odzyskuje równowagę, nie upada. Twarz mu czerwienieje. Szybko wychodzi na środek sali. Kiedy tam staje, wędruje wzrokiem od misy Nieustraszoności do misy Prawości. Pomarańczowe płomienie unoszą się coraz wyżej, a od szkła odbija się niebieskie światło lamp.

Marcus podaje mu nóż. James bierze głęboki wdech – patrzę, jak unosi mu się pierś – i robiąc wydech, chwytą ostrze. Potem, wzdrygając się, przesuwając nim po wnętrzu dłoni, wyciąga ramię na bok. Krew spada na szkło. On pierwszy opuszcza swoją frakcję. Z części sali zajmowanej przez Nieustraszonych dochodzą szmery, a ja wbijam wzrok w podłogę.

Od teraz widzę w nim zdrajcę. Rodzina Tuckera, z Nieustraszoności, za półtora tygodnia, w Dzień Odwiedzin, będzie mogła spotkać się z synem w siedzibie jego nowej frakcji, ale nie zrobi tego, bo ją porzucił. Nieobecność Jamesa będzie prześladować ich dom, on sam stanie się wolną przestrzenią, której nie zdołają zappełnić. A potem minie jakiś czas i dziura zniknie, jak wtedy, kiedy usuwa się jakiś organ, a soki ciała zajmują pozostałe po nim miejsce. Ludzie nie potrafią długo znosić pustki.

– Caleb Prior.

Caleb po raz ostatni ściska moją dłoń i gdy odchodzi, rzuca mi przez ramię długie spojrzenie. Patrzę, jak stopy brata przesuwają się ku środkowi sali, a ręce spokojnie przyjmują nóż od Marcusa. Jedną dłoń zręcznie przyciska nóż do drugiej. Potem Caleb stoi, krew wypełnia mu wnętrze ręki, a usta się napinają.

Robi wydech. Potem wdech i wysuwa rękę nad misę Erudycji. Jego krew kapie do wody, pogłębiając jej czerwień.

Słyszę szepty, coraz głośniejsze, które stają się krzykami oburzenia. Ledwie potrafię jasno myśleć. Mój brat, ten mój bezinteresowny brat, zmienia frakcję? Mój brat, urodzony do Altruizmu – zostanie Erudyta?

Kiedy zamykam oczy, widzę stos książek na biurku Caleba i jak po teście przynależności przesuwa po nogach drżącymi rękami. Dlaczego nie wpadłam na to, kiedy wczoraj mi radził, żebym myślała o sobie, że kieruje to także pod własnym adresem?

Przeglądałam się zgromadzonym Erudytom – na ich twarzach pojawiają się zadowolone uśmiechy, szturchają się. Altruści, zwykle tacy spokojni, rozmawiają półgłosem pełnym napięcia i patrzą na drugą stronę sali, na frakcję, która stała się naszym wrogiem.

– Przepraszam! – odzywa się Marcus, ale tłum go nie słyszy. – Proszę o ciszę! – krzyczy.

Robi się cicho, nie licząc jakiegoś brzęczenia.

Słyszę swoje nazwisko, wzdrygam się i ruszam przed siebie. W połowie drogi do mis jestem pewna, że wybiorę Altruizm. Teraz to widzę. Widzę siebie, jak nosząc szaty Altruizmu, stoję się kobietą, jak wychodzę za brata Susan, Roberta, a w weekendy pracuję społecznie. Widzę spokój rutyny, ciche wieczory przy kominku, pewność, że będę bezpieczna, a nawet jeśli nie bardzo dobra, to i tak lepsza niż teraz.

Zdaję sobie sprawę, że dzwoni mi w uszach.

Patrzę na Caleba, który stoi za Erudydami. Odwzajemnia spojrzenie i lekko pochyla głowę, jakby wiedział, o czym myślę, i się ze mną zgadzał. Stawiam kroki już mniej zdecydowanie. Jeśli nawet Caleb nie nadaje się do Altruizmu, to jak ja mogę się nadawać? Ale czy mam wybór, teraz, kiedy nas opuścił i zostałam tylko ja? Nie dał mi innej możliwości.

Zaciskam zęby. Będę tym dzieckiem, które pozostanie. Muszę to zrobić dla rodziców. Muszę.

Marcus podaje mi nóż. Spoglądam mu w oczy – mają taki dziwny ciemnoniebieski kolor – i biorę ostrze. Marcus skłania głowę, odwracam się w stronę mis. Po lewej mam zarówno ogień Nieustraszonej, jak i kamienie Altruizmu, jedno przede mną, a drugie za mną. W prawej ręce trzymam nóż, czubkiem dotykam wnętrza dłoni. Zgrzytając zębami, przeciągam nim po

skórze. Piecze, ale ledwie to zauważam. Przyciskam obie ręce do piersi, a kiedy wypuszczam powietrze, drżę.

Otwieram oczy i gwałtownie wyciągam ramię. Moja krew kapie na dywan między misami. Potem z jękiem, którego nie potrafię stłumić, przesuwam rękę do przodu, a krew syczy na węglach.

Jestem samolubna. Jestem odważna.